KURJER POLSKI
DZIECIOM

Dnia 14 kwietnia 1923 r.

Zaczarowane skrzypce.

Opowiem wam — o tym Jasiu —
o Jasiu sierocie,
który we wsi się potułał —
spał często przy płocie.

A nie zaznał on pieszczoty
ni ojca ni matki,
nie miał serca mu bliskiego,
ni rodzinnej chatki.

Potyrany — często bity,
pocichu się skarżył,
o nieszczęsnej swojej doli,
on — do kwiatów gwarzył.

Więc jedyne powierniki
były mu te kwiatki,
dzikie róże, maki polne
i swojskie bławatki.

Do strumienia, który płynął
niedaleko wioski,
opowiadał swoje żale,
swoje smutki, troski.

A do zboża, co szumiało,
niby morza fale,
mówił biedak, swoje bóle,
nieszczęścia i żale...

Raz on usnął tam na dworze
w cichą noc lipcową,
mając tylko wiązkę żytnią
pod znękaną głową.

Raz on usnął — a na niebie
gwiazdy się srebrzyły...
Jasieńkowi dziwy jakieś
w oną noc się śniły.

Zdało mu się, jakby z góry
zleciał Anioł biały,
mając skrzypki, które tony
cudne wydawały.

Szła muzyka przez te pola
dźwięczna i pogodna,
taka swojska — taka rzewna,
miękа i łagodna.

Zdało mu się, jakby była
echem polskiej wioski,
i koiła i krzepiła
wszystkie jego troski.

Anioł biały znikł w przestworzu,
Janek jeszcze słucha,
czy to ciągle brzmi melodja,
czy tylko wiatr dmucha?

Patrzy w koło — dzień już świta,
patrzy i nie wierzy —
Cóż to jest, co obok niego —
na tem zbożu leży? —

Czy to Anioł mu zostawił
skrzypki swe czarowne —
czy on na nich grać potrafi
piosenki cudowne? —

Bierze smyczek, naśladuje
w śnie słyszane granie,
wzbiera w duszy, wzbiera w sercu
wielkie ukochanie. —

Ukochanie zboża łanu,
słońcem złoconego,
ukochanie swojej ziemi,
nieba błękitnego.

W tę muzykę, w tę melodję,
w to czarowne granie,
kładzie dusze, kładzie serce
i to ukochanie.

Bierze smyczek, bierze skrzypki,
idzie do swej wioski:
gra wciąż rzewnie, gra wciąż śpiewnie,
w dal uciekły troski.

Zbiegają się gospodarze,
chłopcy i dziewczęta;
żaden z nich takiej muzyki,
jak żyw nie pamięta. —

Czują jakby się rozwarła
nieznana kraina,
płaczą — nie wiedząc dlaczego,
do smutku przyczyna.

Kuba, Antek, biorą skrzypki
i grać zaczynają,
lecz melodji ich prostaczej
ludzie nie słuchają.

Proszą tylko, żeby Janek
grał i wciąż grał jeszcze,
czują w duszy — czują w sercu,
jak powstają dreszcze.

Janek gra — a im się zdaje,
że to ptaszek śpiewa,
że to wiatr pośród jabłoni
kwitnącej powiewa.

Janek gra — a im się zdaje,
że to konie poją,
a pod płotem się schowały
dzieci, co się boją.

Janek gra — a im się zdaje,
że to dzwon — hen dzwoni,
na południe teraz znowu
słychać tupot koni.

Janek gra — a im się zdaje,
jakby skrzypek tony
oddawały te rodzime
polskie, nasze strony.

Janek gra — a im się zdaje,
że skrzypek muzyka
w chaty, w sioła, w te ogrody
i wszędzie przenika. —

Sława grania Jaśkowego
szybko była znana,
miał niejedno zaproszenie,
do wielkiego pana.

Miał niejedno zaproszenie
na książęce dwory,
chciano dać mu dużo złota
i wielkie honory.

Lecz Jaś nie chciał ni zaszczytów,
ani worków złota,
tak jak był — tak też pozostał,
biedny Jaś sierota.

Grał wciąż rzewnie, grał wciąż śpiewnie,
grając szedł przez sioła,
grał na skrzypkach, które były
darem od Anioła.

A muzyka brzmiała wkoło,
wesoła, radosna,
jakby w serca wstępowała
Zmartwychwstania wiosna.

JANINA MIERCZYŃSKA:

W KRAINIE BAŚNI TATRZAŃSKIEJ.

Cicho było, kiedy Hania i Jędruś stanęli nad jeziorem. Brzegiem szła królowa Cisza, patrząc przed siebie zimnemi rozszerzonemi źrenicami, przed nią biegły jasnowłose pacholęta, krokiem, którego słychać nie było, palcem przyłożonym do ust nakazując milczenie; zniknęły nagle djamenty błyskające na jeziorze, schowała się wielka ryba, limby rosnące na zboczach gór opuściły swoje puszyste gałęzie i stały niewzruszone, milczące. Szaro-białe postacie przypadły do skał, jedne niżej, inne na samych szczytach, jeszcze inne zawisły nieruchomo nad stawem.

„Jak tu cicho, rzekła Hania, mimowoli zniżając głos—patrzę się na to jezioro i góry, przecież to Morskie Oko, znamy je, bo byliśmy tu już raz z rodzicami, a wszystko wydaje mi się jakieś inne".

„Bo widzisz, mówił Jędruś, nie było wtedy ani tej ryby z wielkim brylantem, ani tych smutnych bladych pań, ani tego chłopca... słuchaj, Haniu, a może nałapiemy tych drobniutkich djamencików, co rozsypują się po wodzie, patrz, pokazały się znów."

Pobiegły dzieci nad wodę i łapały mieniące się kamienie, ale cóż, gdy na powierzchni jeziora widziały djamenty, w rękach pozostawała im tylko piana. Przestały zmęczone.

„Wiesz co, powiedziała poważnie Hania, to są zaczarowane djamenty i dlatego nie możemy ich nałapać."

„Tak, napewno zaczarowane, dajmy temu pokój", powiedział zniechęcony Jędruś i zaczął śledzić, co robi chłopiec fruwający nad jeziorem, a który mu się ogromnie podobał.

Oto nadbiegł z rozwichrzonym włosem, dmuchając mocno, rozpędził het mgliste postacie chmur, które, zbiwszy się w jedną masę, zniknęły za szczytami, a wtedy uspokojony chłopiec-Wiatr stanął na najwyższym szczycie i zaczął dąć w długie piszczałki. Poleciał powiew lekki, poruszyły się limby zapatrzone w wodę, gdzieś z głębi lśniącej wodnej tafli wzleciał w górę szmer cichy i domieszał się do powiewu wiatru.

I szła po górach dziwna opowieść o księciu, co śliczną panią o oczach koloru morza bez wiedzy ojca jej pokochał, co go stary ojciec przeklął, że siłą przekleństwa w kamiennego mnicha zamieniony został, o nieszczęśliwej księżnej, której pięcioro dzieci potonęło, każde w innym stawie górskim, o nieszczęśliwej księżnej, co duch jej dotąd krąży nad czarnym stawem, w który z rozpaczy się rzuciła. Nad czarnemi wodami jeziora postać w ciemnej szacie, z rękami załamanemi, z włosem rozwianym, chodzi milcząca, blada, staje, a łzy z oczu płyną i strumieniem całym po skałach spływają.

Biegnie opowieść fal jeziora o pałacu koralowym, co w szmaragdową toń zapadł, o skarbie wielkim nieprzebranym, którego nikt nigdy nie odnajdzie.

Zasłuchały się smukłe ciche limby, zasłuchała rozłożysta kosodrzewina, zasłuchały się dzieci w dziwny szmer fal.

Wartko, wesoło biegnie potok, biały od skał dno zaścielających, z hukiem rozpryskuje krople wody, promienne kropie zawisają na igliwiach smreków, na płatkach kwiatów, mieniąc barwami tęczy. Potok śmieje się i huczy, śpiewa rozgłośnie i radośnie, to znów ciszej, smutno, żałośliwie.

Opuściwszy cudne jezioro, Hania i Jędruś szli teraz brzegiem potoku, minęli długi las i wyszli na dużą, jasną polanę. Zachwyconym oczom dzieci ukazały się szeregi szczytów, szerokiemi ramionami opasujących dolinę. A najwyższy wśród wirchów, w królewską purpurę zachodu odziany, Garłuch skrzył drogiemi kamieniami, zdobiącemi jak koroną jego dumny wierzchołek. Lśnił niedościgniony skarb, co go człowiek nigdy nie dosięże, bo wzbija się coraz wyżej i wyżej w górę, niezdobyty. Wokoło potężnego wirchu całe pasmo dzikich, poszarpanych skał jakgdyby ten król nad niemi wiódł je gdzieś i nagle wszystkie stanęły tak, zastygły na wieki.

Poniżej, do jasnych skał uczepione, ciemne limby i smreki chwiały się na wietrze, a miljony barwnych kwiatów rozkwitało wśród traw. Wśród wirchów dumnych i wspaniałych doszły dzieci znów do jakiegoś jeziora.

„Widzisz, Jędrusiu, mówiła Hania, to jest napewno Kaczy Staw i po nim pływa złota kaczka, złota kaczka zaklęta".

„Ale czemu jej nie widać?" spytał Jędruś.

„Poczekaj, złota kaczka znosi złote jajka, tak opowiadał mi jeden góral, szukajmy więc, pomyśl, jakby ładnie wyglądały takie jajeczka przy innych na Wielkanoc".

Szukały dzieci długo, ale nic nie znalazły.

Tymczasem miało się już pod wieczór i słońce zachodziło; promienie jego pełzały po falach, załamując się; tworząc tęczę barwną, zaszumiały lasy w dole leżące hymnem wieczornym, a fale zawtórowały i leciała pod złocisto-błękitne niebo cudna pieśń wieczorna. Wtem pośrodku gładkiej powierzchni jeziora poczęły się piętrzyć fale, a kiedy promienie słońca padły wprost czerwone krwawe, na jezioro wypłynęła złota kaczka... delikatne jej piórka błyskały złotem, a na głowie miała malutką koronę wysadzaną brylantami.

„Złota kaczka, zaklęta kaczka!" szeptały dzieci, stanęły za wielkim głazem i patrzyły nieruchome.

Złota kaczka dopłynęła do brzegu, wyszła z wody i stanęła na kamieniu wśród kosówek. Ostatni promień słońca padł na nią, zalśniły piórka delikatne, zalśniły brylanty w koronie... zgasło słońce, mrok błękitnawy padł na taflę wodną i całą dolinę, i nagle opadły złote piórka, a na miejscu kaczki stanęła królewna w złotej szacie.

Mchem porośnięte dzikie zwały ogarnął pomrok, gdzieś z głębi z za turni zapadłej wypełznął Mrok, błękitno-fioletowy potwór o wielkich, potężnych dłoniach, rozłożył palce szeroko na skały, lasy i potoki, i zaraz błękitna mgła ogarniała wszystko, tylko biały śnieg lśnił na piargach, tylko błyskała złocista szata królewny kaczki, z pochyloną głową szła królewna brzegiem jeziora. Żałosny jej śpiew przerwał ciszę, zachybotały smreki w dole rosnące, zakołysały się fale jeziora, zaklęta królewna śpiewała.

Śpiewała, jak zimne są fale jeziora, jak ciężką korona ze złota, kiedy niema jej kto zdjąć z białego czoła, jak samotne są długie noce, kiedy, odzyskawszy ludzką postać, błąka się wśród gór, jak szczęśliwą byćby mogła, gdyby się odnalazł rycerz, co hen za górami bój z potworami wiedzie, co ją tu na wieki w kaczkę zaklęły... jak wielką jest tęsknota, której nikt nigdy nie ukoi...

Biedna królewna-kaczka! Jędrusiowi i Hani tak żal było, ale nic jej poradzić nie mogli, a przytem obawiali się trochę zaklętej królewny, taka była śliczna, tak słodko a dziwnie śpiewała; siedzieli więc cicho za wielkim głazem, porośniętym kosówką, szepcąc tylko do siebie. Ściemniało się coraz bardziej. W rozpadlinie skał jakieś duchy odezwały się melodją dziwną, przerażającą, Hanię i Jędrusia ogarnął przestrach. Nadchodziła Noc w szacie czarnej przezroczystej, przed nią wolnym krokiem szli chłopcy i dziewczynki w takich jak ona sukienkach, niosąc zwoje ciemnej zwiewnej gazy, niosąc gwiazdy świecące, rozbłysłe. Idzie Noc z swą twarzą tajemniczą, smugi mroku do stóp jej się kładą — wyciągnęła liljowe dłonie ponad lasem w dole szumiącym, ponad stawem turniami... na pochylone, jakby zasłuchane, ramiona Tatr zarzuciła zwoje czarnej gazy, nad głębie, skały ciemność zapadła. Cicho... z jeziora powiał wiatr.

Jędruś zaczął płakać, napróżno Hania próbowała go uspokoić, nie mogła, bo jej samej łzy z oczu leciały.

„Chodźmy do domu! wołał Jędruś, chodźmy od tego jeziora, od tych gór; tak tu zimno, wiatr wieje."

„A czy trafimy?" szepnęła Hania.

Ciepły, gorący prawie powiew doleciał do skulonych dzieci. Nad stawem zawisła ciężka, niewielka chmurka; coś groźnego było w jej nieruchomości, jakieś odgłosy zduszone, długie, przeciągłe odzywały się w turniach; nagle rozległ się grzmot jeden krótki a potężny, echo podniosło go i powtórzyło kilkakrotnie, i poleciał silny, gorący podmuch. Nieruchoma dotąd chmura poczęła zwolna opadać. Ochl nadchodził wicher halny ze wszystkich najpotężniejszy, drżało przed nim wszystko w szalonej trwodze, chybotały drzewa lasu w dole rosnącego, piętrzyła się i pieniła woda jeziora. Hania i Jędruś przerażeni schodzili śpiesznie w dół do lasu, gnał ich wiew gorący i przeciągłe odgłosy wichru, odzywającego się gdzieś w szczytach. Och, byle się nie obejrzeć, byle go nie ujrzeć, tego potężnego a groźnego, prędzej, prędzej! Doszły wreszcie dzieci do lasu, pełnego tajemniczych szeptów, gwarów, tu jeszcze pod gęste sklepienie drzew nie dochodził podmuch wiatru — i przeszedł dzieci strach, co je taką mocą ogarnął, ale nic już je nie cieszyło, nie chciały patrzeć na śliczne boginki, ani śmiać się i ścigać z figlarnymi chochlikami, chciały tylko dojść do domu. Siadły w końcu zmęczone pod drzewem. Hania powiedziała, że tu trzeba noc przeczekać, przytulił się Jędruś do Hani, wesołe śmiechy duszków i rusałek długo im spać nie dawały, ale w końcu pomęczeni usnęli.

Hania i Jędruś obudzili się z ciężkiego snu, zdziwieni rozgladali się wokoło, nie mogąc pojąć

skąd, jakim sposobem znaleźli się w izbie góralskiej, leżąc na dużem łóżku, ciepło kożuchem otuleni.

Wprost łóżka na kominie palił się ogień, dym szedł wielki, przesłaniając osoby i przedmiota znajdujące się w izbie. Dzieci usiadły na łóżku, poprzez błękitnawe smugi dymu, rzedniejącego już nieco, widziały teraz wyraźnie drewniane ściany obwieszone obrazkami świętych, półeczkami, na których poustawiano miski, garnki i talerze. Przy kominie stała gaździna w serdaku, w chustce na głowie, mieszając coś w garnuszku; opodal na ławie siedział stary góral w białej gunce, małym czarnym kapeluszu z piórkiem, palił fajkę zapatrzony w płomień ognia, obok niego na ławie leżały gęśle... Na ich widok Hania i Jędruś drgnęli.

„Widzisz?..." szepnął Jędruś, trącając Hanię.

„Widzę!—odpowiedziała Hania,—nic nie rozumiem, gdzie my jesteśmy?"

Gaździna usłyszała szepty dzieci, podeszła do nich:

„Nie śpicie, dzieci?" zagadnęła.

„Skąd my tu?" pytali Jędruś i Hania.

„Naśliśmy was niebożątka śpiące w lesie i przynieśli haw tu" opowiadała gaździna. „Ej, dzieci, dzieci! jakoż to tak samym powirchak chodzić? Poczekajcie, napijcie się mleka, Józek odwiezie was do domu ku mamusi".

Dzieci nie odzywały się więcej, sen je morzył, nie rozumiały nic, gdzież się podziały chochliki, stawy i rusałki? Poczciwa Gaździna napoiła mlekiem zmęczone dzieci i ułożyła znów do snu, gładząc po główkach:

„Śpijcież teraz pięknie, a zagrajże"!—i zwróciła się do górala, co siedział nieruchomo ćmiąc fajkę. Ocknął się na jej głos z zamyślenia, uśmiechnął łagodnie do Jędrusia i Hani: „Trzeba dzieciom grać". Wziął do rąk gęśle i zagrał, zagrał tęskną dziką nutę, tak cudną, że się na zawsze wprzęgła w dusze zasłuchanych dzieci.

Hania i Jędruś z pod przymkniętych powiek patrzyli na promień ognia, co strzelał w górę iskrami, trzaskając wesoło, widziane skały, lasy, widziadła przeróżne, zaklęte królewny — stapiało się wszystko w jedno, stapiało w jakiś złoty promień, który zlewał się z płomieniem ogniska... a stary góral wciąż grał.

JULJAN EJSMOND:

Z cyklu: „Dziecięcy światek".

DZIDZIUŚ WITA WIOSNĘ.

Dzień dobry ci, dobra Wiosno...
Daj nam dzionek wesoły, słoneczny...
Jak pozwolisz Dzidziowi psocić,
to Dzidziuś będzie grzeczny...

Park cały rozbrzmiewa dokoła
ptaszątek pogodną piosenką...
Jak będziesz deszczyk robić,
to zawołaj przedtem Wiosenko!

HELENA SOBAŃSKA:

Garnek i Warząchew.

Garnek posprzeczał się z warząchwią.

Bo też było o co!

— Albo się ma zasady dobrego wychowania. albo nie! — tak twierdził garnek.

I właściwie miał słuszność.

Chodziło bowiem o to, że warząchew stale się doń odwracała plecami.

A działo się tak zawsze wówczas, kiedy jakieś przyczyny z zewnątrz działające, których zresztą garnek nigdy nie mógł zgłębić dokładnie, wymagały bezpośredniego zbliżenia się obu wrogów.

Wtedy to, wiedziona pulchną dłonią, połyskującej od czystości, niby świeżo wyszorowany rondel—opasłej niewiasty, warząchew zbliżała się do garnka i... masz tobie!

W ostatniej chwili, zamiast skinąć mu grzecznie głowę, jak u wszystkich na świecie jest przyjęte—odwracała się doń plecami.

I za każdym razem garnek miał możność podziwiania przepięknej okrągłości warząchwi właściwej, która wszakże, zamiast wzbudzić zasłużone—przyznać musicie—uznanie, wywoływała w garnku stałe oburzenie, przeistoczone w końcu w niegasnącą nigdy nienawiść. Właściwie cała rzecz polegała na nieporozumieniu, jak to często w podobnych razach bywa, ale nie znalazł się nikt ktoby wyjaśnił, że warząchew nie żywiła względem garnka żadnych złych uczuć, że takie nieliczenie się z etykietą, która obowiązuje nawet w kuchni, wypływało poprostu z jej fachu.

Garnek był niezaprzeczenie najszanowniejszą osobą z całego kuchennego zgromadzenia, przewyższał bowiem wszystkich niezwykłem, nawet dla garnka—wydęciem boków.

A znanem jest powszechnie, że im bardziej kto się nadyma —tem więcej mu przypisują zasług, tak że wreszcie każdy dany osobnik sam uwierzyć w te zasługi gotów, choć to nie zawsze z prawdą zgodne bywa.

Pozatem garnek posiadał piękną polewę: czarną na zewnątrz, zaś białą ode środka.

Co uważał za lepsze, niż gdyby miał być odwrotnie — białym od zewnątrz, a czarnym ode środka.

Jest to wprawdzie zdanie mniejszości, ale garnek z dumą się do niej zaliczał.

Nie dziw więc, że przejął się swoją godnością do samego dna, na którem to dnie — w tem sęk... lecz raz wszystko wyznać trzeba, świeciły, a raczej czerniły trzy wielkie szczerby (jedna wszakże nieco mniejsza), a tego nie można nazwać przyjemnością.

O szczerbach tych nie wiedział nikt, jeno owa opasła niewiasta, krótko mówiąc — kucharka.

No i... warząchew, jako bezustannie z garnkiem obcująca.

I kto wie, czy całej obrazy o niezachowanie form—nie należałoby uważać jako pozór jedynie.

W gruncie bowiem chodziło o te szczerby, których garnek poprostu się wstydził, gdyż nosił się, jakmogliście już zauważyć—nad miarę pysznie.

Jakie więc były rzeczywiste powody ostatecznego między garnkiem a warząchwią zatargu, tego nie wyświetlił dotąd nikt.

Natomiast zobaczyłby wnet każdy, ktoby zechciał uważniej rozejrzeć się dokoła, że sytuacja w kuchni stawała się coraz bardziej naprężona i tem więcej, że wszystkie kuchenne sprzęty poczuwały się do obowiązku wypowiedzenia swej opinji w tym względzie, tak że ostatecznie cały zespół podzielił się na dwa wrogie sobie obozy.

I tak trwało na wzajemnem dogadywaniu.

Aż musiało przyjść do wybuchu.

Wałek do ciasta zdawna go przepowiadał.

Ponieważ zaś nie miał styczności ani z garnkiem, ani z warząchwią—sąd jego uchodzić mógł za najbardziej bezstronny.

A rożen odzywał się złośliwie, jako że ostry był z natury, iż pod pozorem kłótni ukrywa się tu zapewne co innego, W myśl przysłowia: Kto się lubi ten się czubi.

Tylko że garnek, jako zbyt próżny, do swego afektu przyznać się wstydzi, bo warząchew prosta sobie kobiecina, nie mająca pretensji do wysokiego rodu.

Patelnia znów syczała wiele sił:

— Wartoby już kres położyć tym plotkom. Nic z nich okrom zgorszenia.

I szypiała coraz rozgłośniej, starając się zagłuszyć prowadzone rozmowy, ze względu na swoje córki, małe patelenki, które dokoła niej ustawione, piszczały cieniutko, nastawiając przytem ciekawie uszka, aż się te paliły z ciekawości.

Wprawdzie ogień zgasili już oddawna. Ale dnia tego tyle warzono i pieczono, że zachowało się sporo żaru pod popiołem.

Dlatego może owa nieco podniecona atmosfera, jaka zapanowała nagle, tembardziej, że kucharka wciąż nie powracała.

Poszła do kościoła, gdyż było to wielkie święto i stąd owe niezwykłe przygotowania kuchenne, bo ludzie naogół przeważnie w ten sposób święta czcić zwykli.

I oto nastąpiła katastrofa.

W jakiejś chwili ciszy, która zapadła po żywszej wymianie zdań pomiędzy rożnem a patelnią—przedstawicielami dwóch, wręcz przeciwnych kierunków...

Wśród ciszy, będącej, jak się okazało potem, prawdziwie ciszą przed burzą—warząchew, która wisiała, zdawało się, spokojnie na swym haku, nagle z hałasem...

To jest właściwie hałas wszczął się potem.

Zrazu zaś rozległ się zgrzyt, najboleśniejszy jaki się obił kiedy o uszy tych ścian...

(Wszakże wiecie, że ściany mają uszy) i warząchew, spadłszy z gwoździa, na którym ją zazwyczaj wieszano — uderzyła w garnek z całym impetem, na jaki ją było stać. Tak, że ogromny kawał najpiękniejszej białej polewy wyprysnął z samego środka jego dna, w którem czerniała teraz nowa szczerba, jak po świeżo wyrwanym zębie.

To był już wyraźny napad!

Garnek uczuł, że mu się robi słabo i nawet trudno się dziwić—każdy przyzna.

W tejże chwili weszła kucharka.

— Co się tu dzieje? rzekła, zapalając lampę. Co za hałasy! Że też człowiek nigdy nie może spokojnie wyjść z domu, żeby się zaraz jaka nie przytrafiła psota.

I podeszła do płyty.

Garnek aż zadygotał z radości.

— Oto wreszcie znienawidzona przezeń warząchew poniesie zasłużoną karę.

A warząchew, niby trusia, przytuliła się do garnka, jakgdyby on nigdy nie miał względem niej żadnej urazy.

Zaś kucharka, wprawnem okiem znającego swe szeregi wodza, wnet dostrzegła, co się święci.

Wyjęła warząchew i nie obdarzywszy jej nawet spojrzeniem—powiesiła na dawnem miejscu.

Natomiast co do garnka.

Wzięła go w obie ręce.

Potem odwróciła do światła, obejrzała raz i drugi, obróciła dnem do góry, jeszcze raz zajrzała do środka i mruknąwszy coś dla garnka niezrozumiałego, podeszła do szafy stojącej w kącie, otworzyła ją i nagle...

Garnek uczuł, że spada w jakąś głąb, a przytem doszły go słowa—groźne, jak wyrok przeznaczenia:

— Oddawna ci się należy.

(Tu poznał kucharki głos).

— Wiecznie pani wyrzeka, że emalja skrzypi w zębach, stare to i szczerbate.

Ostatnie dotyczyło oczywiście garnka, nie zaś — pani.

A potem garnek już nie słyszał nic. Ogarnął go nieprzenikniony mrok i stracił przytomność.

Zaś kiedy się ocknął, ujrzał siebie wśród różnych niepotrzebnych rupieci, składanych zwykle przez kucharkę w kuchennej szafie na dole, skąd wędrowały już potem do worka handlarza, który przychodził po nie co pewien czas.

Warząchew zaś wróciła na swe dawne miejsce

Tylko hak, na którym wisiała, został mocniej wbity w ścianę.

Widocznie obluźnił się, co też musiało być powodem nieszczęśliwego wypadku, nie zaś czy jakolwiek zła wola, jak przypuszczał garnek.

I to jest najprostsze tłomaczenie sprawy.

Wszelako rożen i patelnia rozważali ją każdy po swojemu, co znowuż stało się powodem niejednej między niemi sprzeczki.

Ale, mówiąc nawiasem, sprzeczki te doskonale wpływały na urozmaicenie jednostajności kuchennego życia.

A warząchew—ta nadal pełniła swój urząd, pomimo, że przepiękna okrągłość jaką się cieszyła ustąpiła miejsca nader brzydkiemu spłaszczeniu, będącemu wynikiem owego z garnkiem zderzenia. Więc też od tego czasu warząchew usiłowała pokazywać się stroną niespłaszczoną, tylko nie zawsze się jej udawało.

Tak, że w końcu rożen przezwał ją złośliwie: krzywoboką.

Garnek ogromnie się ucieszył, kiedy się o tem dowiedział, bo plotka kuchenna przeniknęła nawet do zamkniętej szafy.

Ale musicie przyznać, że to było bardzo nieładnie z jego strony.

BENEDYKT HERTZ:

FILUTEK

(BAJKA)

Za karawaną cyrku, co zjechał do miasta,
za długim sznurem wozów i koni, i klatek
słoń kroczył, wzrostu chałupy.
Białe kły, jak dwie dzidy, nos jak piąte łapsko...
Lecz duszę, widać, ma rabską:
człeka go wiedzie za ucho i powrozem chlasta.

Spostrzegł to z bramy Filuś, stróżowej gagatek.
Jak zbierze nogi do kupy,
ak się nie porwie, jak nie skoczy w mig...
Dognał — i w krzyk!
— Cham jakiś, cham!
Ja ci tu zaraz spacerować dam!..

To z przodu tyłem skacze, to zabiega zboku,
to, prześcignąwszy, waruje i czeka
gotów do skoku
i szczeka — aż się zanosi tak szczeka.
Ochrypł, siadł.
Wtem nadbiega młodszy brat,
Azorek, co dyszkantem wtórował zdaleka.
— Powiedz, bracie, — zapytał — co twój gniew [oznacza?
— Nie rozumiesz? Przestaną brać mnie za [smarkacza.
Pomyślą: w tym Filutku moc, widać, nielada,
skoro na słonia ujada.

ROZWIĄZANIE ZAGADEK

z dodatku wielkanocnego „Kurjera Polskiego—dzieciom".

I. Szarada Konkursowa.
II. Konkursowa Szarada.
III. Dodatek Kurjera Polskiego dla dzieci.
IV. Tamiza.
V. Adam—Dama—Amor—Mara.
VI. Epoka.
VII. Litera „W."
VIII. Rok—Ola—Karol—Oko—Lok.
IX. Roman—Mamut—Noteć.
X. Lato.

Trafne rozwiązanie powyższych zagadek, przysłane zostało przez 112 czytelników, z których pięciu wylosowanych otrzymuje jako nagrodę po oryginalnej książce z ostatnich wydawnictw dla młodzieży. Są to następujący czytelnicy i czytelniczki:

1. Adam *Budny* z Warszawy, ul. Leszno 84.
2. Leś *Rożecki* z Zakopanego, willa „Orawa".
3. Wanda *Sokalska* z Warszawy, ul. Złota 8.
4. Stanisław *Warchałowski* z Zamościa Lubelskiego.
5. Krysia *Wiśniewska* z Łodzi, ul. Nawrot.

Quaker Oats
ORYGINALNE
PŁATKI OWSIANE
dla dzieci chorych
i rekonwalescentów.
Niezmiernie pożywne
i lekkostrawne.

PRZEDSTAWICIELSTWO HURTOWE
Sp. Akc. Lambert i Krzysiak, Warszawa, Niecała 8.